



TRYLOGIA NIEPOSKROMIONYCH

MIŁOŚĆ WYRZUTKÓW

MEGHAN

BESTSELLEROWA AUTORKA „NEW YORK TIMESA”

MARCH

Tytuł oryginału: Rogue Royalty (Savage Trilogy #3)

Tłumaczenie: Olgierd Maj

Projekt okładki: Justyna Sieprawska

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

ISBN: 978-83-283-9050-8

Copyright © 2018 Rogue Royalty by Meghan March LLC

Polish edition copyright © 2023 by Helion S.A.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://editio.pl/user/opinie/miltn3>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Rozdział 1

Temperance

Siadam na krześle. Ptaki ćwierkają na drzewie nade mną, jednak ja nic nie czuję.

Nic.

Powinnam coś czuć. Żałoba ma pięć stadiów — czytałam o nich w dokumentach, które dostałam od domu pogrzebowego.

Wyparcie, gniew, targowanie się, depresja i akceptacja.

Gdzie na tej liście jest „brak jakichkolwiek uczuć”?

Dlaczego nie potrafię czuć gniewu? Wściekłość byłaby o wiele łatwiejsza do zniesienia od tej... pustki.

Jestem rozbita.

Herbata w filiżance, którą Harriet wcisnęła mi w dłonie, już dawno przestała parować, a ja nie wypiałam nawet łyżeczki.

Moja gospodyni nadchodzi od strony domu, powiewając na wietrze połami jedwabnego szlafrocza i trzymając w dłoni kopertę.

— Temperance, kochanie, był tu jakiś mężczyzna do ciebie.

Wszystkie mięśnie mojego ciała napinają się.

— Jaki mężczyzna? — szepczę.

— Już zapomniałam, jak się nazywał. Coś, co kończyło się na -stein i brzmiało wyjątkowo snobistycznie.

Po kolei zmuszam każdą komórkę ciała do rozluźnienia się. *Oddychaj, Temperance. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.*

To była moja mantra przez cały ten piekielny miesiąc od czasu pogrzebu brata i nieraz miałam wrażenie, jakby czyjaś żelazna pięść ścisnęła mi płuca, próbując mnie udusić.

I chciałam tego. Czasami nadal tego pragnę.

Nigdy nie sądziłam, że sam oddech może być tak bolesny. Jednak gdy zostało się rozdartym i wypatroszonym, sama egzystencja powoduje ból.

— Wydaje mi się, że znudziło mu się dobijanie do twojego mieszkania. Powiedział, że od paru dni próbował się z tobą skontaktować.

Gdy jestem w mieszkaniu, ignoruję brzęczenie domofonu. Chyba czasami ktoś mnie odwiedza, sądząc z tego, że w lodówce pojawiło się jedzenie, ale wszystko zakrywa mgła i nie jestem w stanie powiedzieć, kto przychodził i kiedy. Tak jest lepiej. Nie chcę się z nikim widzieć. Nie miałam nawet ochoty wyjść na patio, żeby napić się herbaty z Harriet, ale postraszyła, że mnie eksmituje, jeśli przynajmniej raz w tym miesiącu nie wyjdę na słońce.

Harriet kładzie szarą kopertę na stole.

— Nie chciał mi jej zostawić, ale powiedziałam, że może albo mi ją dać, albo wsadzić sobie w tyłek, bo nie zamierzasz otwierać drzwi, nawet gdyby dobijało się do nich czterech jeźdźców Apokalipsy. Ustąpił, kiedy obiecałam, że nie pozwiesz go za to, że pozwolił mi sfałszować twój podpis.

Zmuszam się do wydania chropawego dźwięku mającego być śmiechem, bo taka chyba powinna być normalna ludzka reakcja na to, co powiedziała Harriet. *Normalna*. Już nigdy taka nie będę.

Spoglądam na kopertę, na której moje nazwisko wypisane jest powyżej adresu dużymi, drukowanymi literami. Nie jestem gotowa,

żeby spojrzeć w zatroskane oczy Harriet, więc zerkam na lewy górny róg koperty.

W miejscu nadawcy widnieją trzy wymyślnie brzmiące nazwiska, których nie rozpoznaję.

— Nigdy nie słyszałam o tych ludziach.

— Powiedział, że pracuje w kancelarii prawnej. — W polu widzenia pojawia się palec Harriet wskazujący na kopertę. — Dla tej kancelarii.

Prawnicy.

Świetnie.

Odwracam wzrok od koperty i z powrotem zaczynam wpatrywać się w lampion zwisający z gałęzi drzewa, pozwalając, żeby szum dobiegający z ulicy wypełnił ciszę.

Podoba mi się ten dźwięk. Cisza jest moim wrogiem. Cisza oznacza, że mogę słyszeć własne myśli, a jeszcze nie jestem w stanie się z tym zmierzyć.

Jeszcze nie jestem w stanie zmierzyć się z czymkolwiek.

— Otworzysz list? — pyta Harriet ze zniecierpliwieniem.

— Nie.

— Cholera, dziewczyno, nie możesz bez końca ignorować istnienia całego świata.

Kiwam głową, udając, że się z nią zgadzam, jednak tak naprawdę mam zamiar ignorować świat tak długo, jak to tylko możliwe, najlepiej już na zawsze.

Ziemia nie przestała się kręcić, mimo że mój wszechświat zatrzymał się z nagłym hukiem. I będzie się kręcić dalej, nawet gdy ja utonę w smutku.

— Skoro ty tego nie zrobisz, to ja tak. — Harriet chwytą leżącą na żelaznym stoliku kopertę i otwiera. — W końcu nie jest to moje pierwsze przestępstwo federalne w tym tygodniu — stwierdza, wyciągając ze środka dokumenty.

Mamrocze coś do siebie przez kilka minut, jednak celowo jej nie słucham. Nie obchodzi mnie, co tam jest napisane. Nic mnie nie obchodzi. Tak jest łatwiej.

Nagle dobiega mnie coś, czego nie mogę zignorować.

—...posiadłość i cała jej zawartość stanowią obecnie wyłączną własność Temperance Ransom.

Odrywam wzrok od lampionu i wpatruję się w dokument w dłoni Harriet.

— Co?

Wyciąga do mnie kartkę, której przyglądam się uważnie. W pierwszej chwili słowa na niej zlewają się w jedno. Przecieram oczy, żeby wystrzyć wzrok, i palce mi wilgotnieją.

Przecież nie płaczę.

Naprawdę udoskonaliłam sztukę samooszukiwania się. To chyba pasuje, biorąc pod uwagę, że od miesiący tonęłam w kłamstwach, chociaż o tym nie wiedziałam.

Mrugam i wreszcie skupiam się na słowach wypisanych na papierze.

Jakiś głos we mnie krzyczy „nie!”, ale tłumię go. List potwierdza jeszcze jeden fakt, w który do tej pory nie chciałam uwierzyć... bo jestem głupia.

Kane już nigdy nie wróci.

To, co jeszcze tliło się we mnie, ostatnie iskielki nadziei, że może myliłam się w kwestii wszystkiego, gasną. Mnę kartkę papieru w dłoni, kiwając się na krześle i czując, jak lzy płyną mi ciurkiem po twarzy.

Rozdział 2

Temperance

Godzinami wpatruję się w leżący na stoliku kawowym list — który wygładziłam, ale i tak wygląda, jak psu z gardła — aż oczy zaczynają mi łzawić.

Kane zostawił mi swój dom.

Jak śmiał?

Po raz pierwszy odkąd naprawdę pozwoliłam, żeby dotarło do mnie, że mój brat, Rafe, nie żyje, czuję coś innego niż wielką, ziejącą pustką.

Gniew.

Jest we mnie, tli się w mojej duszy, z każdą chwilą jego temperatura rośnie.

Jak on śmiał?!

Zrywam się z kanapy i zaczynam nerwowo chodzić po maleńkim salonie połączonym z kuchnią. Na ogół tego nie robię — to Keira ma taki zwyczaj. Teraz jednak czuję, jak nagromadzony gniew wlewa żar w moje żyły. Jestem niczym ćpunka po świeżym strzale, nie mogę ustać w miejscu.

Kane dał mi całą posiadłość, dom, warsztat i wszystkie samochody — tak jakby to w jakiś sposób, w jakimkolwiek świecie, mogło wynagrodzić mi fakt, że *zabił mojego cholernego brata*.

Czuję, jak narasta we mnie zwierzęce wycie, a łzy po raz kolejny zaczynają płynąć mi z oczu.

— Jak mogłeś to zrobić? *Nienawidzę cię!*

Rozpacz rzuca mnie na kolana i zaczynam walić pięściami w podłogę, nie przejmując się tym, co musi sobie myśleć mieszkająca pod mną Harriet.

Walę w porysowane deski, aż dłonie pokrywają mi się siniakami. Opieram się czołem o podłogę i szlocham.

— Jak mogłeś to zrobić? — Te słowa są ledwie szeptem, bo znowu czuję, że nic mi już nie zostało.

On mi wszystko odebrał.

Ta kupa cegieł wypełniona kawałkami metalu teraz nic nie znaczy.

Nic.

Ktoś puka do drzwi.

— Temperance, tu Harriet...

— Nic mi nie jest — odpowiadam łamiącym się głosem.

— Masz gościa.

— Nie! — wykrzykuję gwałtownie. Nie chcę nikogo widzieć. Nie mogę nikogo widzieć.

— To twoja szefowa, kochanie.

Świetnie. Właśnie chcę, żeby ta osoba widziała mnie w takim stanie.

Leżę na podłodze jak żalonna kupka nieszczęścia. Drzwi otwierają się, zanim znajduję w sobie dość energii, żeby się podnieść.

— Temperance? Och, skarbie, tak mi przykro.

Słyszę stukanie obcasów Keiry. Klęka obok i obejmuje mnie ramieniem.

Nie widziałam jej od dnia pogrzebu brata — chociaż wydaje mi się, że była tutaj w czasie, kiedy spałam po dwadzieścia godzin na dobę.

Powiedziała mi, że mam tyle czasu, ile potrzebuję, i że w destylarni poradzą sobie beze mnie.

Złapałam ją za słowo, zapominając zupełnie o obowiązkach, z których wypełniania byłam kiedyś taka dumna, i w zamian pogrążając się w piekle.

— Co mogę zrobić? — szepcze i nienawidzę tego, że słyszę w jej głosie litość. Ale dlaczego miałyby się nade mną nie litować? Jestem tą idiotką, która zakochała się w facecie, który następnie zabił jej własnego brata.

Jestem jakimś żalonym zartem. Katastrofą. Chodzącym nieszczęściem.

Przełykam ślinę i próbuję wymyślić, co powiedzieć. Cokolwiek.

— Dał mi dom. — Siadam i patrzę prosto przed siebie, unikając jej spojrzenia.

— Co? — pyta.

— Dał mi jebany dom! — Sięgam po pomięte kartki papieru na podłodze przed sobą. — Jak mógł mi to zrobić? Okłamał mnie, a ja mu uwierzyłam. Jak mogłam być tak cholernie głupia? Jak?

Nie powinnam mieć już w sobie łez, jednak płyną coraz szybciej i szybciej. Zwijam obolałe dłonie w pięści i próbuję otrzeć twarz.

Keira obejmuje mnie i mocno ściska.

— Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro — powtarza w kółko, kiwając się ze mną, podczas gdy ryczę jak ktoś, komu wyrwano serce. Tak właśnie się czuję.

Na dodatek to moja wina.

Równie dobrze sama mogłam pociągnąć za spust. Rafe zmarł przeze mnie. Przyszedł tam ze względu na mnie. Kane mnie okłamał. Wykorzystał mnie. *Zdradził.*

Te rany wciąż są zbyt świeże.

— Jak on mógł to zrobić?

— Nie wiem, skarbie. Naprawdę nie wiem.

Odwracam głowę tak gwałtownie, że omal nie uderzam Keiry.

— Ale Mount wiedział, prawda?

— Temp...

Przerywam jej, nim zdąży dokończyć, cokolwiek chciała powiedzieć.

— Nie przychodź tu i nie opowiadaj banialuk. *Musiał wiedzieć.*

On wie wszystko.

Keira przełyka ślinę, twarz wykrzywia jej się w grymasie żalu.

— Nic mi nie powiedział. Przysięgam na własne życie. Możliwe, że Lachlan wiedział, ale nigdy by mi o tym nie powiedział. Nawet nie wiem, kto dał ci dom i jaki dom?

Wpatruję się w nią z niedowierzaniem. *Nie wie, kim jest Kane?* Jak to w ogóle możliwe?

Mount. Mount stoi za tym wszystkim.

Winą za ból, który teraz odczuwam, mogę obarczyć go dlatego, że wysłał do mnie Kane'a. Ale nie mogę za to nienawidzić Keiry. Ona nie zrobiła nic złego... jedynie poślubiła diabła.

— Mount musiał wiedzieć o wszystkim.

Keira przymyka na chwilę oczy.

— Prawdopodobnie masz rację. Prawdopodobnie wiedział. Naprawdę niewiele jest rzeczy, o których nie wie. Niemniej jednak wiemy, że z nich nigdy się nie dzieli i zawsze ma ku temu dobry powód.

— Nienawidzę go! — wrzeszczę. — Cholernie nienawidzę ich wszystkich!

— Wiem. Przykro mi, Temperance, naprawdę.

Czuję się wewnętrznie rozdarta na strzępy. Wpatruję się w papiery na podłodze.

— Chcę odpowiedzi.

— Wiem, że tak. Nie mogę ci jednak dać czegoś, czego sama nie mam.

— Powiedział mi, że nie zrobiłby tego — szepczę, chociaż ona nie ma pojęcia, o kim mówię. — Więc jak mógł to zrobić?

— Nie wiem.

Sięgam po kartki i znowu mnę je w dłoniach.

— Czuję się jak ostatnia idiotka. Zaufałam *płatnemu zabójcy*. Kto robi coś takiego?

Keira milczy albo dlatego, że już wie, o kim mówię, albo dlatego, że sama ufa człowiekowi, który wydaje rozkazy płatnym zabójcom. Tak czy siak, to niczego nie zmienia.

— Nie mogę się pogodzić z tym, że byłam aż tak głupia. Tak jakbym to sprowadziła sama na siebie. Gdybym tyłko...

— Ciii... — przerywa mi Keira. — Nie możesz ciągle tego przeżywać, zastanawiając się, co by było, gdyby.

Odwracam się, żeby spojrzeć jej w oczy.

— Wiem. Po prostu chciałam... — Potrząsam głową i opuszczam wzrok, nie mogąc znieść współczucia Keiry. To zbyt trudne.

Odchrząkuję.

— Potrzebujesz, żebym wróciła do pracy? Wiem, że już zbyt długo mnie tam nie było... — Jednak nawet wypowiadając te słowa, wewnątrz krzywię się na samą myśl, by wrócić i zmierzyć się ze wszystkimi.

— Nie przejmuj się tym. Masz tyle czasu, ile potrzebujesz. Zatrudniłam kogoś do pomocy i wszystko idzie dobrze. Nie musisz się przejmować niczym poza sobą.

— Jesteś pewna? — pytam, nie mogąc powstrzymać ulgi.

— Tak, oczywiście. Seven Sinners nigdzie się nie wybiera. Czy potrzebujesz czegoś? Czy mogę zrobić cokolwiek, żeby ci pomóc?

Milczę przez dłuższą chwilę.

— Chcę rozmawiać z Mountem — mówię w końcu, spoglądając jej w oczy. — Potrzebuję z nim porozmawiać.

Po dłuższej chwili odpowiada cicho.

— W takim razie załatwię ci to.

Rozdział 3

Temperance

Nikt o zdrowych zmysłach nie prosi o audiencję u diabła, ale już dawno przestałam uważać się za normalną.

Rozlega się brzęczyk i podchodzi do domofonu.

— Tak?

W odpowiedzi słyszę chrząknięcie. Nic poza tym, żadnych słów, ale to wystarcza.

Przyjechał po mnie samochód, a kierowcą jest człowiek, który nie mówi. V.

Zamierzam stanąć twarzą w twarz z diabłem i domagać się odpowiedzi. Gdybym tylko mogła zażądać, żeby przywrócił mojego brata do żywych... Tylko tego pragnę.

Tego i zrzucenia z siebie ciężaru zdrady, który jest jak kula u nogi utrudniająca każdy krok.

Kane mnie okłamał.

A ja mu uwierzyłam.

Nienawidzę siebie za to. Może nawet bardziej niż nienawidzę jego.

— Już schodzę — mówię do domofonu, tak jakby istniała jakakolwiek szansa, że nie stawię się na to spotkanie.

Wsuwam stopy w zniszczone robocze buty pasujące do poszarpanych dżinsów i starej koszulki. To najlepsze, na co potrafię się zdobyć.

Gdy wcześniej tego dnia otworzyłam szafę, żeby znaleźć coś do ubrania, dopadło na mnie wspomnienie przeglądania tych samych strojów w poszukiwaniu czegoś, co mogłabym założyć do klubu.

Założyć do klubu, gdzie miałam się z nim spotkać.

Zatrzasnęłam drzwi i podniosłam jakieś ciuchy z podłogi.

Przynajmniej dżinsy i koszulka nie sprawiają, że mam ochotę wpełznąć z powrotem do łóżka i poddać się, jakby sprawiły sukienka czy spódnica. Wszystko przypomina mi o nim i o błędach, które popełniłam, oraz o tym, jak łatwo pozwoliłam sobą manipulować.

I teraz nic już nie będzie takie jak wcześniej.

Wychodzę z mieszkania, zamykam drzwi na klucz i idę po spiralnej klatce schodowej.

Okna u Harriet są otwarte i dobiegają z nich dźwięki jakiejś nieznannej mi opery, rozchodząc się w wieczornym powietrzu.

Zatrzymuję się, żeby powiedzieć jej, że wychodzę, ale nie mam ochoty rozmawiać więcej niż to konieczne. Uświadamiam sobie, że zachowuję się okropnie wobec wszystkich, którym na mnie zależy. Ta lista i tak jest krótka, więc powinnam być miłsza i bardziej wdzięczna, ale nie mogę tego teraz z siebie wykrzesać.

Za to też siebie nienawidzę.

Biorę głęboki oddech i ruszam wyłożoną ceglami ścieżką do bramy. Widzę za nią V, ochroniarza i kierowcę Keiry, opartego o czarny samochód.

Ten samochód.

Omam nie wymiotuję prosto na chodnik, uświadamiając sobie, że to ten sam maybach, którym jechałam z Kanem na lotnisko, gdzie miałam spotkać się z bratem i razem z nim opuścić kraj. Tak naprawdę jednak nie było żadnej zaplanowanej podróży, tylko egzekucja mojego brata.

Mount wie, że jechałam tym samochodem.

Pieprzony duppek. Czy to jego sposób na sprawdzenie mnie? Zmusza mnie, żebym przeżyła to jeszcze raz? Sprawdza, jak bardzo chcę się z nim zobaczyć i jak bardzo zależy mi na uzyskaniu odpowiedzi?

Zaciskam palce wokół kutyh krat i gapię się na V, który odwzajemnia to spojrzenie z całkowicie obojętnym wyrazem twarzy.

Nie mogę tego zrobić.

Unosi podbródek, krzyżuje ramiona na piersi i czeka.

Jego też nienawidzę.

Przetykam żółć podchodzącą mi do gardła, puszcza kraty i sięgam do klamki.

Dam radę. Nie mam innego wyboru.

W milczeniu idę chodnikiem. V odwraca się, żeby otworzyć dla mnie tylne drzwiczki.

Zamieram, gdy tylko widzę wnętrze samochodu. Przysięgam, czuję wyjątkowy, korzenny zapach Kane'a w powietrzu.

Przestań dramatyzować, Temperance. Wsiadaj do tego pieprzonego samochodu.

Karczę się za słabość, tak samo jak robię sobie wyrzuty za wszystko inne w ciągu ostatniego miesiąca. Gdybym miała bicz, posiekałabym nim sobie skórę na strzępy.

Wsiadam do samochodu i zaciskam powieki, kiedy V zatrzaskuje drzwiczki. Na siedzeniu obok mnie leży czarny kaptur.

Nie ma, kurwa, mowy.

Po chwili słyszę trzaśnięcie drzwiczek z przodu. V chrząka i zerkam we wsteczne lusterko. V kiwa głową i wiem, czego chce. Domaga się, żebym założyła kaptur.

Tak jak Kane kazał mi zakładać czapkę na oczy.

— A jeśli tego nie zrobię? — pytam.

Wskazuje na bramę, przez którą właśnie przesłam.

— Nienawidzę cię — oznajmiam. To dziecinne i sprawia, że brzmię jak zdzira, ale mam to gdzieś.

Sięgam po kaptur i naciągam go na głowę zalana falą wspomnień. „Dokąd jedziemy? Do bat-jaskini?”

To naiwne pytanie, które wygłosiłam kilka tygodni temu, teraz jest niczym cios w żołądek. Otacza mnie ciemność.

A teraz pieprzona bat-jaskinia należy do mnie i jedyne, na co mam ochotę, to spalić ją do gołej ziemi. *Może to zrobić.*

Jazda do siedziby Mounta jest tak krótka, jak się spodziewałam. Wiedziałam, że to gdzieś w Dzielnicy Francuskiej, ale nigdy tam nie byłam. Nie jest to miejsce, gdzie zaprasza się gości.

Kiedy V otwiera mi drzwiczki, sięgam w kierunku kaptura. Gdy nie słyszę chrząknięcia na znak protestu, ściągam go.

V kiwa głową i wskazuje podbródkiem w bok na znak, że powinienam wysiąść. Przechodzę za nim przez drzwi i idę najpierw po klatkę schodowej bez okien, a następnie kilkoma korytarzami. Przypomina mi to klub.

Nie. Nie, wcale nie. Zupełnie nie jest podobne.

Gdy V przyciska jakiś ukryty guzik i cała ściana przed nami przesuwa się, odskakuję do tyłu.

O, to naprawdę przypomina bat-jaskinię.

Znowu czuję ukłucie zdrady. Idę za V i znajduję się w pomieszczeniu wyglądającym jak gabinet lub biblioteka. Ciężkie regały z książkami stoją przy ścianach, a przede mną znajduje się olbrzymie drewniane biurko.

Siedzi za nim Mount i pisze coś na kawałku papieru, który następnie składa i wsuwa do koperty.

Słyszę za sobą cichy szelest, a gdy się odwracam, widzę, jak Blizna wychodzi przez obrotowe drzwi ukryte w kominku.

Co, u licha?

Szybko omiatam wzrokiem pozostałą część pokoju: dwa skórzane fotele, kilka lamp, szafka z karafkami alkoholu. Mount wreszcie unosi wzrok.

— Nie odpowiadam na propozycje spotkań, Ransom. Zgodziłem się tylko z uwagą na moją żonę, więc zachowaj ostrożność.

W normalnych okolicznościach trzęsłabym się ze strachu, dosłownie. Ale teraz? Nie mam nic do stracenia. Absolutnie nic.

Nagle wszystkie pytania, które tak rozpaczliwie chciałam mu zadać, ulatują mi z głowy, pozostawiając tylko jedno.

— Dlaczego? — To słowo brzmi, jakby ktoś wyszarpał mi je z gardła zardzewiałymi cęgami.

Spogląda na mnie, mrużąc oczy.

— Co dlaczego?

— Dlaczego to zrobiłeś? Czy chciałeś śmierci mojego brata? O to chodzi?

Mount odchyła się w fotelu i krzyżuje ramiona na piersi. Jego szyty na miarę garnitur przypomina mi o Kanie i zmuszam się, żeby odwrócić wzrok.

— Proszę, przyjmij moje kondolencje z powodu śmierci brata, Temperance.

— Nie dlatego...

Przerywa mi ostrym spojrzeniem.

— Gdybym chciał jego śmierci, to by od dawna nie żył. Jeśli chodzi o to, dlaczego to wszystko zrobiłem — nie muszę się tłumaczyć, więc powiem tylko, że twoje porwanie i śmierć sprawiłyby, że moja żona byłaby nieszczęśliwa. Zadbanie o twoje bezpieczeństwo było jedynym sposobem, żeby tego uniknąć.

Wściekłość, która zaczęła we mnie narastać już wcześniej, teraz uderza mi do głowy.

— Ale musiałeś wiedzieć o planie zabicia Rafe'a!

Mount wstaje i opiera pięści o blat biurka.

— To, co wiedziałem wtedy lub co wiem teraz, to nie twój zasrany interes.

Czuję dławiący szloch i nie jestem w stanie odpowiedzieć. Kolana się pode mną uginają. Zataczam się do tyłu i trafiam na fotel. Pochylam się w przód, czując napływające znowu do oczu łzy.

Nie obchodzi mnie, że płaczę w biurze Mounta. Nie obchodzi mnie nic poza rozdzierającym mnie bólem.

— Pochorujesz się, jeśli będziesz tak płakać.

Mrugam i przez łzy dostrzegam pudełko chusteczek, które wciska mi na kolana Mount, kucając przede mną.

— Jeśli komukolwiek powiesz, że trzymam w biurze chusteczki, to dopilnuję, żeby nikt nigdy więcej o tobie nie usłyszał. To zniszczyłoby moją reputację.

Mówi to ze śmiertelnie poważną miną i domyślam się, że to ma być żart, ale moje poczucie humoru jest w tym momencie w zaniku. Biorę chusteczkę z pudełka i wydmuchuję nos.

— Nie pomagasz sobie, tonąc w smutku, Temperance. Mówiłem ci już, jesteś wykuta z tego samego materiału co moja żona. To oznacza, że znajdziesz w sobie zapas siły, wlejesz stal w kręgosłup i staniesz prosto. Nie jesteś martwa, więc przestań się tak zachowywać.

Łzy obsychają mi w okamgnieniu.

— Nie udawaj, że mnie znasz. Nie udawaj, że masz jakiegokolwiek pojęcie, jak się czuję...

— To nie ma znaczenia, czy cię znam i czy wiem, co czujesz. Chcesz leżeć w trumnie razem z bratem? Proszę bardzo, ale nie ciągnij za sobą mojej żony. Dopilnuję, żebyś została odcięta na długo przedtem.

Odchylam się do tyłu.

— Co to ma znaczyć?

— W tej chwili jest przez ciebie smutna. Usuвам rzeczy, które wywołują smutek Keiry. Rozumiesz?

Opada mi szczęka.

— Naprawdę grozisz, że mnie zabijesz, bo Keira martwi się z mojego powodu? Po tym, kiedy widziałam, jak brat *kona* na moich rękach?

Przypominam sobie rozmowę z Gregorem Standishem i jak martwiłam się o niego ze względu na to, co powiedział o Keirze... a potem on umarł. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że właśnie Mount był odpowiedzialny za jego śmierć. Standish ściągnął to na siebie, atakując Keirę i destylarnię.

Moje pytanie pozostaje bez odpowiedzi, ale wiem, że odpowiedzią Mounta mogłoby być tylko gromkie „tak”. Nie ma niczego, czego nie zrobiłby dla Keiry.

Pragnęłam czegoś takiego, chociaż nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. Czuję kolejne ułknięcia smutku i gniewu.

— Wstawaj. Otrzyj łzy. Weź się w garść. I nie wracaj do Seven Sinners, dopóki nie będziesz w stanie rozmawiać, nie płacząc ani nie krzycząc, rozumiesz mnie?

Mount jest brutalny i bezpośredni i jakaś część mnie go za to nienawidzi. Inna część... Inna część rozumie, że potrzebowałam to usłyszeć. Wyciągam ręce i chwytam go za nadgarstki, nim ma szansę odejść.

Wędruje spojrzeniem do moich dłoni, a potem wraca do twarzy.

— Niezależnie od tego, jak bardzo potrzebowałam to usłyszeć, nadal nienawidzę cię za rolę, jaką w tym odegrałeś.

— Zapamiętam to sobie. — Wyrzywa się z mojego uścisku. — Nasze spotkanie dobiegło końca, Temperance.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Jak wiele poświęcisz, aby twoja bajka miała szczęśliwe zakończenie?

Kane Savage był brutalnym bandytą. Wykonywał zlecenia, których nikt by się nie podjął. I wcale nie chodziło o demonstrację odwagi i determinację. Taki po prostu był. Kobieta jego życia, Temperance Ransom, wiedziała o tym, mimo to uważała, że może znaleźć szczęście u boku Kane'a. Tylko czy można ufać płatnemu mordercy? Ceną za to bywa śmierć bliskich osób. I o tym właśnie przekonała się Tempe. Za obsesyjne uczucie do Kane'a jej brat Rafe zapłacił najwyższą cenę.

Diabeł rzadko kiedy bywa dobrym doradcą. Tym razem jednak Lachlan Mount, mąż najlepszej przyjaciółki Tempe – Keiry Kilgore i niekwestionowany król nowoorleańskiego półświatka, postawił ją do pionu. Mount zakomunikował jej coś, co Tempe musiała usłyszeć. *Znajdziesz w sobie zapas siły, wlejesz stal w kręgosłup i staniesz prosto. Nie jesteś martwa, więc przestań się tak zachowywać.* Te słowa oznaczały jedno: musiała chwycić życie za rogi i znów być szczęśliwa. Ale przecież nie mogła żyć w strachu, choć zdawała sobie sprawę, że demony Nowego Orleanu nigdy nie zapominają o swoich ofiarach.

Tempe przygotowała plan. Powrót do rzeźbiarstwa, które zawsze przynosiło jej ukojenie. Musi zostać sławną artystką, aby praca przynosiła jej odpowiednie pieniądze, a także zapomnieć o dawnym ukochanym i nie myśleć o bracie. W końcu obaj byli martwi. Tylko czy na pewno? Przeszłość bowiem wciąż ją ścigała. Z całą bezwzględnością...

ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-283-9050-8



9 788328 390508

Cena: 42,90 zł